

# DZIEŃ TRYFIDÓW - FRAGMENTY

## 1. POCZĄTEK KOŃCA

Kiedy wiemy na pewno, że jest środa, a wszystkie odgłosy rozpoczynającego się dnia wskazują na to, że jest niedziela, coś chyba musi być nie w porządku.

Poczułem to w chwili, gdy się ocknąłem ze snu. Jednakże po całkowitym przebudzeniu zacząłem się wahać. Koniec końców wszystko przemawiało za tym, że się mylę — chociaż nie bardzo rozumiałem, jak to jest możliwe. Czekałem tedy, wciąż jeszcze niezupełnie pewien. Po chwili wszakże zdobyłem pierwszy obiektywny dowód: gdzieś w od-dali zegar wybił, jak mi się zdawało, godzinę ósmą. Słuchałem pilnie i podejrzliwie. Wkrótce odezwał się inny zegar, głośny i stanowczy. Wolno, dobitnie wybił niezaprzeczoną ósmą. Nie miałem wątpliwości, że coś się musiało stać.

Koniec świata — no, powiedzmy, tego świata, który znałem blisko trzydzieści lat — ominął mnie przez najczystszy przypadek: ocalenie, jeżeli się dobrze zastanowić, zwykle bywa przypadkowe. Z natury rzeczy w szpitalach znajduje się zawsze sporo pacjentów, a probablistyka mniej więcej przed tygodniem wybrała mnie na jednego z nich. Mogła mnie wybrać równie dobrze o tydzień wcześniej — w tym wypadku nie pisałbym teraz: w ogóle by mnie nie było. Ale traf chciał, że leżałem w szpitalu właśnie w tym czasie, ponadto zaś moje oczy, a ściślej biorąc, całą głowę spowijały szczelnie bandaże. Dlatego powinienem być wdzięczny losowi czy komukolwiek, kto rządzi probablistyką. W owej chwili jednak byłem tylko zły, zastanawiając się, co się u licha dzieje, bo leżałem już w szpitalu dość długo, aby wiedzieć, że po siostrze przełożonej najświętszą wyrocznią jest tu zegar.

Bez zegara szpital w ogóle nie mógłby funkcjonować. Co sekunda ktoś spogląda na niego, żeby ustalić czas narodzin, śmierci, podawania leków, posiłków, zapalania i gaszenia światła, rozmów, pracy, snu, odpoczynku, odwiedzin, opatrunków, mycia — i jak dotychczas nakazywał, żeby ktoś zaczynał mnie myć i oporządzać punktualnie trzy minuty po siódmej rano. To był główny powód, dla którego ceniłem sobie separatkę. Gdybym leżał na sali ogólnej, niemiłe te zabiegi zaczynałyby się niepotrzebnie o całą godzinę wcześniej. Ale dzisiaj różne, pewne niezbyt dokładnie chodzące zegary wciąż i ze wszystkich stron wybijały godzinę ósmą, a nikt dotychczas nie nadszedł.

Mimo że nie cierpiałem, kiedy mnie myto gąbką, i mimo że nieraz bezskutecznie prosiłem, aby zaprowadzono mnie do łazienki, co wyeliminowałoby ten przykry proces — brak jego w dniu dzisiejszym mocno mnie zaniepokoił. Poza tym mycie z reguły zapowiadało rychłe nadejście śniadania, a byłem już porządnie głodny.

Byłbym pewno tym wszystkim zirytowany każdego innego dnia, ale ten dzień, środa ósmego maja, miał dla mnie szczególne znaczenie. Chciałem odwalić czym prędzej całe to zawracanie głowy, bo tego właśnie dnia miano mi zdjąć bandaże.

Pomacałem ręką, znalazłem dzwonek i naciskałem go przez całe pięć minut, żeby dać do zrozumienia pielęgniarkom i salowym, co o nich wszystkich myślę.

W oczekiwaniu gniewnej reakcji, jaką powinien był wywołać tego rodzaju alarm, nasłuchiwałem pilnie.

Odgłosy z zewnątrz, jak sobie teraz uświadomiłem, były jeszcze dziwniejsze, niż mi się przedtem zdawało. Były bardziej nawet niedzielne niż w normalną niedzielę — a ja doszedłem znów do niezłomnego przekonania, że mimo wszystko jest środa.

Dlaczego założyciele szpitala świętego Merryna uznali za stosowne zbudować go przy niezmiernie ruchliwym skrzyżowaniu w dzielnicy handlowej i narażać w związku z tym nerwy pacjentów na ustawiczną szarpaninę, stanowi pytanie, na które nigdy nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi. Ale dla tych nielicznych a szczęśliwych chorych, których cierpienie nie wznagało nadmiernie hałas uliczny, miał on tę zaletę, że pozwalał im leżąc w łóżku, trzymać, że tak powiem, rękę na pulsie życia. Autobusy jadące na zachód pędziły zazwyczaj z łoskotem, usiłując zdążyć przed czerwonym światłem na rogu; najczęściej jednak świdrujący pisk hamulców i salwa strzałów z tłumika obwieszczały, że im się to nie udało. Po chwili ze skrzyżowania rozlegał się znów warkot i ryk silników, gdy pojazdy, spuszczone ze smyczy przez zielone światło, zaczynały wspinać się po pochyłości. Co pewien czas zdarzała się odmiana: głośny trzask, zgrzyty, a potem przerwa w ruchu — rzecz niezmiernie drażniąca dla kogoś w mojej sytuacji, kto mógł wnioskować o rozmiarach zajścia tylko na podstawie ilości i natężenia dobiegających z ulicy przekleństw. W każdym razie nikt z pacjentów szpitala świętego Merryna we dnie czy w nocy nie mógł ani przez moment sądzić, że wszelkie życie ustało tylko dlatego, że jego osoba wycofana została chwilowo z obiegu.

Ale tego ranka było inaczej. Inaczej w sposób niepokojący, bo tajemniczy. Żadnego turkotu kół, żadnego ryku autobusów, na dobrą sprawę w ogóle nie słychać było jakiegokolwiek pojazdu. Nie słyszało się zgrzytu hamulców, buczenia klaksonów ani nawet człapania koni zaprzężonych do furgonów, które z rzadka tędy przejeżdżały. Nie dobiegał też, jak to powinno było być o tej porze, różnoraki tupot nóg śpieszących do pracy.

Im dłużej nasłuchiwałem, tym dziwniejsze mi się to wszystko wydawało — i tym bardziej mnie niepokoiło. W ciągu mniej więcej dziesięciu minut napiętej uwagi posłyszałem pięć razy szurające, niepewne kroki, trzy razy głosy z oddali krzyczące coś niezrozumiałego i raz histeryczny szloch kobiecy. Ani razu nie zagruchał gołąb, nie zaćwierkał wróbel. Nic, prócz śpiewu drutów telegraficznych poruszanych wiatrem...

Zaczęło we mnie narastać ohydne uczucie pustki. To samo uczucie miewałem jako dziecko, kiedy wyobrażałem sobie, że w mrocznych kątach sypialni czają się różne potwory; kiedy nie śmiałem wysunąć nogi spod kołdry ze strachu, że jakieś ukryte pod łóżkiem okropieństwo złapie mnie za stopę; kiedy nie śmiałem nawet sięgnąć do przełącznika, bo gdybym się poruszył, jakieś inne okropieństwo mogłoby zaraz na mnie skoczyć. Musiałem zwalczyć to uczucie, podobnie jak musiałem je zwalczać będąc dzieckiem w ciemnościach. A wcale nie przychodziło mi to łatwiej. Zadziwiająco, z ilu rzeczy nie wyrastamy, jak się okazuje w godzinie próby. Pierwotne, atawistyczne lęki wciąż mnie otaczały, czyhając tylko, na sposobność, aby mną owładnąć, i prawie już biorąc mnie we władanie — tylko dlatego, że miałem zabandażowane oczy, a ruch uliczny ustał...

Kiedy się trochę wzięłam w garść, spróbowałam uciec się do logicznego rozumowania. Dlaczego zatrzymuje się ruch? Zwykle dlatego, że ulicę zamknięto w celu dokonania jakichś napraw. Prosta rzecz. Lada chwila zjawi się brygada ze świdrami pneumatycznymi i zada nie-szczęsnym chorym nową odmianę akustycznych tortur. Ale logiczne rozumowanie miało tę wadę, że nie sposób go było w tym punkcie zatrzymać. Rozwijało się dalej, podkreślając z naciskiem, że nie słysząc nawet dalekich odgłosów ruchu samochodowego, nie słysząc gwizdu holowników na Tamizie. Nie słyszałem nic - aż do chwili, kiedy zegary zaczęły wybijać kwadrans po ósmej.

Pokusa, żeby spojrzeć — tylko rzucić okiem, naturalnie, tylko zerknąć, żeby się zorientować, co się u licha dzieje — była ogromna. Oparłem się jej wszakże. Przede wszystkim taki rzut oka stanowił zadanie znacznie bardziej skomplikowane, niżby się mogło zdawać: opatrunek składał się z niemałej ilości waty, gazy i bandaży. Co ważniejsze jednak, bałem się tej próby. Przeszło tydzień kompletnej ślepoty potrafi odstraszyć człowieka od lekkomyślnego traktowania wzroku. Lekarze co prawda zamierzali zdjąć mi tego dnia bandaż, ale mieli je zdjąć w specjalnym, przyćmionym świetle i nie włożyliby ich na powrót tylko wówczas, gdyby wynik badania moich oczu był pomyślny. A nie wiedziałem, jaki będzie wynik. Mogło się okazać, że uszkodzenie wzroku jest poważne i nieodwracalne. Albo że w ogóle nigdy już nie będę widział. Nic jeszcze na pewno nie wiedziałem...

Zakląłem i znów nacisnąłem guzik dzwonka. Przyniosło mi to pewną ulgę.

Okazało się jednak, że nikt się dzwonekami nie interesuje. Teraz już prócz niepokoju ogarnęła mnie irytacja. Być od kogoś zależnym to rzecz upokarzająca, lecz jeszcze gorzej jest, kiedy się nie ma od kogo być zależnym. Moja cierpliwość była na wyczerpaniu. Trzeba wreszcie zrobić z tym wszystkim porządek, powiedziałem sobie.

Jeżeli otworzę drzwi na korytarz i narobię piekielnego hałasu, ktoś powinien nadejść, chociażby po to, żeby powiedzieć mi, co o mnie myśli. Odrzuciłem koce i wstałem z łóżka. Nie widziałem nigdy pokoju, w którym leżałem, i mimo że orientowałem się na słuch, gdzie są drzwi, wcale niełatwo było je znaleźć. Natrafiłem po drodze na kilka zagadkowych i najzupełniej zbędnych przeszkód, w końcu jednak dotarłem do celu względnie cało, jeżeli nie liczyć poobijanych palców u nogi i niewielkiego siniaka na goleni. Wysunąłem głowę na korytarz.

- Hej! — krzyknąłem. — Proszę mi przynieść śniadanie! Pokój czterdziesty ósmy!

Przez moment nie było żadnej odpowiedzi. Potem rozległ się chór wrzaskliwych głosów. Były ich chyba setki, ale nie mogłem zrozumieć ani słowa. Zupełnie jakbym nastawił płytę z wrzaskami tłumu, na dobitkę bardzo wrogo usposobionego. Przez krótką, koszmarną chwilę zastanawiałem się, czy nie przeniesiono mnie podczas snu do zakładu dla obłąkanych, może więc to wcale nie jest szpital świętego Merryna. Wszystkie głosy brzmiały wprost nienormalnie. Zatrzasnąłem szybko drzwi, odcinając się od zgiełku, i po omacku wróciłem do łóżka. Łóżko wydawało mi się jedynym bezpiecznym schronieniem w całym tym niepojętym otoczeniu. Jak gdyby dla spotęgowania wrażenia do uszu moich dobiegło coś, co sprawiło, że zamarłem w trakcie naciągania na siebie koca. Z dołu, z ulicy, rozległ się krzyk, niesamowity, mrozący krew w żyłach. Rozległ się trzykrotnie, a kiedy wreszcie ucichł, zdawało się, że nadal wibruje w powietrzu.

Dreszcz mnie przeszedł. Na czole pod bandażami czułem piekące krople potu. Zrozumiałem teraz, że dzieje się coś przerażającego, coś potwornego. Nie mogłem znieść dłużej odosobnienia i bezradności. Musiałem się dowiedzieć, co to wszystko znaczy. Podniosłem rękę do bandażu, namacałem już agrafki, wtem jednak znieruchomiałem z rękami przy głowie.

Przypuśćmy, że kuracja się nie udała? Przypuśćmy, że po zdjęciu bandażu przekonam się, że nadal nic nie widzę? Byłoby to jeszcze gorsze, tysiąc razy gorsze...

Nie miałem odwagi stwierdzić w samotności, że lekarze nie uratowali mi wzroku. A jeżeli nawet uratowali, czy takie raptowne odsłonięcie nie zaszkodzi oczom?

Opuściłem rękę i położyłem się. Wściekły byłem na siebie, na szpital i dałem upust wściekłości klnąc głupio i bezsilnie.

Musiała upłynąć dłuższa chwila, zanim odzyskałem równowagę i znów zacząłem się głowić nad jakimś wytłumaczeniem tej piekielnej sytuacji. Nie znalazłem go. Doszedłem tylko do bezwzględного przekonania, że wbrew wszelkim przedziwnym oznakom jest środa. Poprzedni dzień bowiem musiał się wszystkim wryć w pamięć, a mogłem przysiąc, że dzieli mnie od niego tylko jedna noc.

Znajdą państwo w kronikach i archiwach, że we wtorek, siódmego maja, orbita Ziemi przeszła przez sferę odłamków komety. Mogą państwo w to nawet uwierzyć, jeśli zechcą — miliony ludzi w to uwierzyły. Może tak było rzeczywiście. Nie rozporządzam niezbitymi dowodami. Wprawdzie nie widziałem tego, co zaszło, ale mam na ten temat własne zdanie. Wiem tylko, że musiałem spędzić wieczór w łóżku słuchając relacji naocznych świadków o najbardziej, jak twierdzili, zdumiewającym zjawisku niebieskim, notowanym w dziejach.

A przecież, zanim się cała historia zaczęła, nikt nie słyszał nigdy ani słowa o tej rzekomej komecie lub o jej odłamkach.

Dlaczego podczas trwania zjawiska mówił o nim bez przerwy sprawozdawca radiowy, skoro każdy, kto mógł chodzić, kusztykać czy dać się nieść, był albo pod gołym niebem, albo gdzieś przy oknie podziwiając największy w historii świata bezpłatny fajerwerk — tego nie wiem. Tak jednak było, a słuchając sprawozdania zrozumiałem jeszcze dokładniej, co to znaczy być niewidomym. Poczulem wreszcie, że jeśli kuracja okaże się nieskuteczna, raczej zrobię ze sobą koniec, niż pozostanę w tym stanie.

W wiadomościach przez cały dzień podawano, że tajemnicze jaskrawozielone błyski widziano poprzedniej nocy na niebie Kalifornii. Tyle jednak rzeczy zdarzało się stale w Kalifornii, że trudno było specjalnie się tym przejmować, ale w dalszych wiadomościach pojawił się ów motyw odłamków komety, no i już pozostał.

Znad całego Pacyfiku napływały relacje o nocy rozświetlonej zielonymi meteorami. „Niekiedy przelatowały ich takie roje, jakby wirowało całe niebo”. I tak też pewnie było, jeśli się dobrze nad wszystkim zastanowić.

Gdy linia nocy przesuwiała się na zachód, wspaniałość widoków wcale nie malała. Poszczególne zielone błyski ukazały się nawet, nim zapadł mrok. Spiker mówiąc o meteorach w wiadomościach o szóstej po południu zapewniał słuchaczy, że jest to fenomenalne widowisko, które każdy powinien zobaczyć. Wspomniał też, że obecność meteorów wywołuje poważne zakłócenia w odbiorze krótkich fal z dalszych odległości, lecz fale średnie, na których nadawane

będą dalsze bieżące sprawozdania, są wolne od zakłóceń, przynajmniej na razie. Spiker mógł oszczędzić sobie potoków wymowy. Sądząc z tego, jakie podniecenie panowało w szpitalu, nie było chyba najmniejszego prawdopodobieństwa, aby ktokolwiek nie obejrzał niebiańskich fajerwerków. Oprócz mnie.

Jak gdyby za mało jeszcze było komentarzy radiowych, pielęgniarka, która przyniosła kolację, również uznała za stosowne o wszystkim mi opowiedzieć.

— Na niebie pełno jest spadających gwiazd — mówiła. — Wszystkie jaskrawozielone i w ich świetle twarze ludzkie wyglądają upiornie. Tłumy wyległy na ulicę i patrzą, a chwilami jest widno jak za dnia, tyle że w dziwnym kolorze. Co pewien czas przelatuje wielka gwiazda, taka świecąca, aż oczy bolą patrzeć. Cudowny widok. Mówią, że nigdy jeszcze nic podobnego nie było. Szkoda, że pan nie może tego zobaczyć!

— Tak — przyznałem dość niechętnie.

— Rozsunęliśmy zasłony w salach, żeby wszyscy mogli oglądać — mówiła dalej. — Gdyby nie miał pan bandaży na oczach, widziałby pan stąd doskonale.

— Naprawdę? — powiedziałem.

— Ale najlepiej się ogląda pod gołym niebem. Podobno tysiące osób zebrały się w parkach i na błoniach. Na wszystkich płaskich dachach też stoi mnóstwo ludzi i patrzy w górę.

— Jak długo to ma potrwać? — spytałem cierpliwie.

— Nie wiem, ale powiadają, że gwiazdy nie świecą już tak mocno jak przedtem. No, ale gdyby nawet panu zdjęto dziś bandażę, wątpię czy lekarze pozwoliliby panu patrzeć. Musi pan z początku być bardzo ostrożny, a niektóre błyski są szalenie jaskrawe. One... ojej!

— Dlaczego „ojej”? — zapytałem.

— Teraz przeleciała taka świecąca, aż cały pokój zrobił się zielony. Co za szkoda, że pan jej nie widział.

— Tak, tak — powiedziałem. — A teraz niech siostra zrobi mi tę łaskę i już sobie pójdzie.

Próbowałem słuchać radia, ale wydawało takie same okrzyki podziwu i zachwytu, na dobitkę zaś wciąż głądziło wykwinną angielszczyznę o „wspaniałym widoku” i „fenomenalnym zjawisku”, aż w końcu miałem wrażenie, że cały świat jest na wielkim balu, na który tylko ja nie dostałem zaproszenia.

Nie mogłem poszukać sobie innej rozrywki, bo szpitalny radiowęzeł nadawał tylko jeden program. Po pewnym czasie zorientowałem się, że widowisko ma się ku końcowi. Spiker ponaglał wszystkich, którzy jeszcze go nie obejrżeli, żeby się pośpieszyli, bo będą żałować do końca życia.

Wszystko jak gdyby się sprzysięgło, aby mnie przekonać, że omija mnie najważniejsza rzecz, dla której właściwie przyszedłem na świat. Wreszcie miałem tego wszystkiego dość i wyłączyłem radio. Przedtem usłyszałem jeszcze, że zjawiska świetlne tracą szybko na sile i za parę godzin prawdopodobnie wyjdziemy ze sfery odłamków komety.

Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że wszystko to zdarzyło się poprzedniego wieczora — gdyby się zdarzyło dawniej, musiałbym odczuwać znacznie silniejszy głód, niż odczuwałem w

tej chwili. No dobrze, więc co to wszystko może znaczyć? Czyżby cały szpital, ba, całe miasto tak się hucznie bawiło do rana, że dotychczas jeszcze nie zdołało oprzytomnieć?

W tym miejscu tok moich myśli przerwały bliskie i dalekie zegary, niezgranym chórem obwieszczając godzinę dziewiątą.

Po raz trzeci z całej siły nacisnąłem dzwonek. Gdy leżałem czekając na rezultat, usłyszałem za drzwiami jakieś szmery. Składały się jakby z pochlipowań, potknięć i szurania, ponad które wybijał się niekiedy jakiś okrzyk z oddali.

Do mojego pokoju wciąż jednak nikt nie przychodził. Zacząłem znów tracić równowagę psychiczną. Ohydne zmory z lat dzieciennych opadły mnie znowu. Zdawało mi się, że lada chwila otworzą się niewidzialne drzwi i cichaczem wślizną się potwory. Prawdę mówiąc, nie byłem wcale pewien, czy ktoś się już nie zakradł i nie krąży bezszelestnie po pokoju...

Z natury nie mam nadmiernie wybujałej wyobraźni, przysięgam. Powodem mojego stanu były przekłete bandaże zasłaniające mi oczy i owe okropne, niesamowite głosy, które odpowiedziały mi, kiedy otworzyłem drzwi na korytarz. W każdym razie uległem zmorom, a kiedy się im ulegnie, olbrzymieją z każdą chwilą. Już teraz przerosły stadium, w którym można by je odpędzić pogwizdywaniem lub głośnym śpiewem.

Wreszcie zadałem sobie rozstrzygające pytanie. Co wolę: zdjąć bandaże narażając się na niebezpieczeństwo utraty wzroku czy pozostawać w ciemnościach, we władzy coraz bardziej paraliżującego strachu?

Gdyby się to działo o dzień lub dwa wcześniej, nie wiem, co bym zrobił — prawdopodobnie w końcu to samo — ale tego dnia mogłem sobie przynajmniej powiedzieć: tam do diabła, jeżeli tylko będę rozsądny, nic strasznego nie może się stać. Ostatecznie bandaże mają być dziś zdjęte. Zaryzykuję.

Jedną rzecz muszę zapisać sobie na plus. Nie byłem aż tak opętany lękiem, żeby gwałtownie zerwać bandaże. Miałem dość rozwagi i opanowania, aby wstać z łóżka i spuścić zasłony, nim się zabrałem do odpinania agrafek.

Gdy już zdjąłem opatrunek i przekonałem się, że widzę w półmroku, poczułem ulgę, jakiej nigdy dotąd nie doznałem. Mimo to, upewniwszy się najpierw, że pod łóżkiem lub w innych zakamarkach nie ukrywają się złoczyńcy lub potwory, podparłem zaraz klamkę drzwi, oparciem krzesła. Wtedy dopiero zdołałem wziąć się w ryzy. Nakazałem sobie spędzenie całej godziny na stopniowym przyzwyczajaniu się do pełnego światła dziennego. Pod koniec godziny byłem już pewien, że dzięki szybkiej pierwszej pomocy, a następnie dobremu leczeniu wzrok mam równie dobry jak przedtem. Ale nadal nikt nie przychodził.

Na dolnej półce stolika przy łóżku znalazłem ciemne okulary, przygotowane na wypadek, gdyby mi były potrzebne. Włożyłem je przezornie, zanim podeszedłem do okna. Dolna jego część nie otwierała się, miałem więc ograniczone pole widzenia. Zerkając na dół i w bok dostrzegłem kilka osób, które w oddali szły po ulicy dziwnie wolno, jakby bez celu. Najbardziej jednak i od razu uderzyła mnie ostrość, czystość zarysów wszystkiego, na co patrzyłem. Nawet dalekie szczyty domów za przeciwległymi dachami widać było niezwykle wyraźnie. Wtem dostrzegłem, że z żadnego komina, dużego ani małego, nie wydobywa się dym...

Moje ubranie wisiało porządnie w szafie. Kiedy je włożyłem, poczułem się od razu bardziej normalnie. W papierośnicy znalazłem jeszcze kilka papierosów. Zapaliłem jednego i bardzo szybko doszedłem do stanu, w którym, mimo że wszystko nadal było niezaprzeczenie dziwne, nie mogłem już zrozumieć, dlaczego właściwie byłem przedtem tak bliski paniki.

Niełatwo jest odtworzyć w pamięci nasz pogląd na świat w owych czasach. Musimy teraz być znacznie bardziej samodzielni, bardziej polegać na sobie. Ale wtedy tyle spraw szło ustalonym od wieków trybem, tyle rzeczy miało ze sobą ściśle powiązania. Każdy z nas dzień w dzień pełnił swoje ściśle określone funkcje w ściśle określonym miejscu, bez trudu więc można było wziąć nawyk i zwyczaj za prawo natury i tym większy się odczuwało wstrząs, jeżeli coś ów ustalony tryb nagle zakłóciło.

Gdy się spędziło pół życia w takim, a nie innym układzie społecznym, zmiana koncepcji tego układu nie jest sprawą pięciu minut. Teraz, kiedy spoglądamy wstecz na ówczesne stosunki, ogrom tego, czego nie wiedzieliśmy i nie chcieliśmy wiedzieć o swoim życiu codziennym, nie tylko zdumiewa, lecz budzi wręcz zgrozę. Ja na przykład nie miałem właściwie pojęcia o najprostszych sprawach: o tym, w jaki sposób i kto dostarcza mi żywności, skąd się bierze świeża woda, jak się tka i szyje noszone przeze mnie ubranie, jak działa kanalizacja — warunek zdrowia mieszkańców miast. Nasze życie zależało od sieci nie-zliczonych specjalistów, z których każdy mniej lub bardziej kompetentnie spełniał swoje zadanie i oczekiwał tego samego od innych. Dlatego też było dla mnie rzeczą nie do uwierzenia, żeby w szpitalu mogła zapanować całkowita dezorganizacja. Ktoś gdzieś — byłem tego pewien — panuje nad sytuacją, pech tylko chciał, że ten ktoś zapomniał o pokoju numer czterdzieści osiem.

Jednakże kiedy znów podszedłem do drzwi i wyjrzałem na korytarz, uświadomiłem sobie ponad wszelką wątpliwość, że cokolwiek się stało, sprawa dotyczy nie tylko pojedynczego mieszkańca pokoju numer czterdzieści osiem.

W pobliżu nie było akurat nikogo, z daleka tylko słyszałem przytłumiony gwar, dobiegały mnie też odgłosy szurających kroków, a od czasu do czasu donośniejszy okrzyk, odbijający się echem w pustych korytarzach. Nic jednak nie przypominało wrzasków, przed którymi przedtem zatrzasnąłem drzwi. Tym razem nie próbowałem już nikogo przywołać. Wyszedłem cicho z pokoju.

Dlaczego cicho? Sam nie wiem. Coś mnie do tego skłoniło.

W tym pełnym ech budynku trudno było określić, skąd dobiegają dźwięki, ale z jednej strony korytarz kończył się balkonem francuskim — przez zasłonę widać było cień balustrady — poszedłem więc w kierunku przeciwnym. Skręciwszy za róg opuściłem skrzydło separatak i znalazłem się w szerszym korytarzu.

W pierwszej chwili zdawało mi się, że jest pusty, ale kiedy ruszyłem dalej, zauważyłem postać, która wyłoniła się z zaciemnionego kąta. Był to mężczyzna w czarnym żakiecie i sztruksowych spodniach, na żakiet miał narzucony biały kitel. Pomyślałem, że to pewno jeden z lekarzy, zdziwiło mnie tylko, że trzyma się ściany i idzie jakby po omacku.

— Dzień dobry — powiedziałem. Stał jak wryty. Twarz, którą do mnie zwrócił, była ziemista i przerażona.

— Kim pan jest? — spytał niepewnie.

— Nazywam się Masen — odparłem. — William Masen. Jestem pacjentem... Pokój czterdzieści osiem. Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego...

— Pan widzi? — przerwał mi szybko.

— Widzę doskonale. Nie gorzej niż przedtem — zapewniłem go. — Znakomicie mnie wyleczono. Co prawda nikt nie przyszedł, żeby mi zdjąć bandażę, więc je zdjąłem sam. Chyba nic się złego nie stało? Staralem się...

Przerwał mi znowu:

— Pan będzie łaskaw zaprowadzić mnie do mojego gabinetu. Muszę natychmiast zatelefonować.

Nie od razu zrozumiałem, o co mu chodzi, ale od chwili kiedy się tego ranka obudziłem, wszystko wprawiało mnie w oszołomienie.

— Gdzie to jest? — spytałem.

— Piąte piętro, zachodnie skrzydło. Na drzwiach jest nazwisko: doktor Soames.

— Dobrze — odparłem z niejakim zdziwieniem. — A gdzie jesteśmy teraz?

Mężczyzna potrząsnął głową, twarz miał ściągniętą i zirytowaną.

— Skąd, u diabła, mam wiedzieć? — rzucił gniewnie. — Pan ma oczy, do jasnej cholery. Niech ich pan użyje. Nie widzi pan, że jestem ślepy?

Nic nie wskazywało na to, że jest ślepy. Oczy miał szeroko otwarte i zdawało się, że patrzy wprost na mnie.

— Proszę chwilę poczekać — powiedziałem. Rozejrzałem się dokoła. Znalazłem dużą cyfrę „5” wymalowaną na ścianie, na wprost drzwi do windy. Wróciłem i powiedziałem mu.

— Dobrze. Niech mnie pan weźmie pod rękę — nakazał. — Od drzwi windy skreśli pan na prawo. Potem pierwszy korytarz na lewo, trzecie drzwi.

Zastosowałem się do wskazówek. Po drodze nie spotkaliśmy nikogo, w pokoju zaprowadzałem go do biurka i podałem mu słuchawkę. Słuchał przez chwilę. Potem namacał ręką aparat i niecierpliwie zastukał w widełki. Powoli wyraz twarzy mu się zmienił. Bruzdy irytacji i niepokoju wygładziły się. Był teraz po prostu zmęczony, bardzo zmęczony. Położył słuchawkę na biurku. Przez kilka sekund stał w milczeniu, jak gdyby wpatrywał się w przeciwną ścianę. Potem odwrócił głowę.

— Na nic, telefon nie działa. Pan jest jeszcze tutaj? — dodał.

— Tak — powiedziałem. Przesunął palcami po kancie biurka.

— W którą stronę jestem zwrócony? Gdzie to przekłete okno? — spytał z nawrotem gniewu.

— Tuż za panem — odrzekłem.

Odwrócił się i ruszył do okna, wyciągając obie ręce. Obmacał starannie parapet, futryny i cofnął się o krok. Zanim się zorientowałem, co robi, rzucił się z całej siły na okno, przebił szybę i wypadł na zewnątrz...

Nie wyjrzałem za nim. Tak czy owak było to piąte piętro.

Kiedy wreszcie odzyskałem zdolność ruchów, opadłem ciężko na krzesło. Wyjąłem papierosa z pudełka na biurku i zapaliłem go rozdygotanymi rękami. Siedziałem tak przez kilka



minut, czekając, aż się uspokoję i uczucie mdłości minie. Po chwili minęło. Wyszedłem z pokoju i wróciłem na korytarz, na którym doktora spotkałem. Kiedy tam dotarłem, wciąż jeszcze kręciło mi się w głowie.

Na odległym końcu szerokiego korytarza były drzwi do sali ogólnej. Szyby miały matowe z wyjątkiem owali przezrzystego szkła na wysokości oczu. Sądziłem, że znajdę tam kogoś, kto ma dyżur i komu będę mógł zameldować o doktorze.

Otworzyłem drzwi. Wewnątrz było dość ciemno. Zasłony przypuszczalnie zasunięto po wczorajszym wieczornym widowisku i dotychczas ich nie rozsunięto.

— Siostró? — spytałem.

— Nie ma jej — odpowiedział męski głos. — Co więcej, nie przychodzi już od Bóg wie ilu godzin. Może rozsunesz te pieskie zasłony, koleś, i wpuścisz trochę światła. Nie wiem, co się dzisiaj stało z tym zafajdanym szpitalem.

— Dobra — powiedziałem.

Jeżeli nawet w szpitalu zapanował chaos, nie widziałem powodu, dla którego nieszczęśni chorzy mają leżeć w ciemnościach.

Rozsunąłem zasłony najbliższego okna, wpuszczając jaskrawe promienie słońca. Była to sala chirurgiczna. Znajdowało się tu ze dwudziestu pacjentów, wszyscy byli unieruchomieni. Przeważnie złamanie nóg i kilka amputacji, sądząc z wyglądu.

— No, nie grzeb się, koleś, rozsłoń zasłony — odezwał się ten sam głos.

Odwróciłem się i spojrzałem na mówiącego. Był to ciemnowłosy, barczysty mężczyzna z ogorzałą cerą. Siedział na łóżku, zwrócony twarzą wprost do mnie — i do światła. Zdawało się, że patrzy mi prosto w oczy, podobnie jak jego sąsiad i następny chory...

Przez kilka sekund wpatrywałem się w niego bez słowa. Tyle czasu to trwało, nim dotarło do mnie zrozumienie.

— Zasłony... chyba się zacięły... — powiedziałem wreszcie. — Poszukam kogoś, żeby się nimi zajął.

Potem uciekłem z sali.

Znów chwyciły mnie dreszcze. Czułem, że przydałby mi się kieliszek mocnego trunku. W mózgu zaczęło mi z wolna coś świtać. Trudno było uwierzyć, że wszyscy mężczyźni z tamtej sali oślepli tak samo jak lekarz, a przecież...

Winda była nieczynna, ruszyłem więc na dół po schodach. Na następnym piętrze zapanowałem nad sobą i zebrałem się na odwagę, żeby zajrzeć do innej sali. Pościel na łóżkach była tu w nieładzie. Sądziłem w pierwszej chwili, że sala jest pusta, okazało się jednak, że nie — niezupełnie. Dwóch mężczyzn w szpitalnej bieliźnie leżało na podłodze. Jeden zalany był krwią z nie zagojonej rany, drugi wyglądał tak, jakby chwycił go jakiś gwałtowny atak. Obaj nie żyli. Reszta chorych znikła.

Kiedy wróciłem znów na schody, zdałem sobie sprawę, że większość odgłosów, które przez cały czas słyszałem, dobiega z dołu i że są teraz wyraźniejsze i bliższe. Wahałem się przez chwilę, ale nie było innej rady, jak iść dalej na dół.

Na następnym zakręcie o mało się nie potknąłem o mężczyznę, który leżał w półmroku. U stóp schodów zaś leżał ktoś, kto się o niego potknął — i zginął, rozbijając głowę o kamienne stopnie.

Wreszcie dotarłem do ostatniego zakrętu, skąd mogłem widzieć główny hol. Najwidoczniej wszyscy chorzy, którzy mogli się poruszać, instynktownie skierowali się tutaj z myślą o znalezieniu pomocy lub o wydostaniu się na zewnątrz. Może niektórzy się wydostali. Główne drzwi wejściowe były otwarte na oścież, ale większość chorych nie zdołała do nich trafić. Zwarty tłum mężczyzn i kobiet — prawie wszyscy w szpitalnej bieliźnie — wolno i bezradnie kręcili się w koło. Tych, co znajdowali się z brzegu, ten obrotowy ruch przyciskał bezlitośnie do wystających marmurowych ozdób lub przygniatał do ścian. Raz po raz ktoś się potykał. Jeżeli mimo naporu ciał padał, niewielka była szansa, że się jeszcze podniesie.

Wyglądało to... cóż, widzieli państwo zapewne rysunki Gustave Doré przedstawiające grzeszników w piekle. Ale Doré nie mógł odtworzyć dźwięków: szlochania, cichych jęków, wznoszących się od czasu do czasu okrzyków rozpacz.

Dłużej niż minutę nie mogłem znieść tego widoku. Uciekłem z powrotem na górę. Miałem uczucie, że powinienem jakoś tym ludziom pomóc. Może wyprowadzić ich na ulicę i przynajmniej położyć kres temu okropnemu, powolnemu krążeniu w ścisku. Ale jedno spojrzenie wystarczyło, by zrozumieć, iż nie zdołam nigdy przedostać się do drzwi, żeby ich wyprowadzić. Poza tym, gdyby mi się to nawet udało, gdybym ich wyprowadził — co dalej?

Usiadłem na stopniu i ukryłem twarz w dłoniach, wciąż mając w uszach te potworne dźwięki. Kiedy wreszcie trochę oprzytomniałem, zacząłem szukać i znalazłem inne schody. Były to wąskie schody dla personelu, które zaprowadziły mnie tylnym wyjściem na podwórze.

Być może niezbyt dobrze opowiadam tę część historii. Cała sprawa była tak niespodziewana i wstrząsająca, że przez pewien czas rozmyślnie starałem się nie pamiętać szczegółów. W tamtej chwili miałem uczucie, że to wszystko jest okropnym snem, z którego bezskutecznie usiłuję się obudzić. Kiedy wyszedłem na podwórze, wciąż jeszcze niezupełnie wierzyłem w to, co widziałem.

Jednego tylko byłem pewien: czy to rzeczywistość, czy koszmar, potrzeba mi odrobiny alkoholu jak jeszcze nigdy w życiu.

Na bocznej uliczce za bramą podwórza nie było nikogo, ale prawie naprzeciw znajdował się bar. Pamiętam jego nazwę — „El Alamein”. U góry, na kutej żelaznej klamrze, wisiała tablica z podobizną wicehrabiego Montgomery, pod nią zaś jedno z drzwi było szeroko otwarte. Ruszyłem prosto tam.

Wejście do baru dało mi na chwilę rozkoszne poczucie normalności. Był prozaicznie i znajomo podobny do dziesiątków innych barów.

Ale chociaż w tej części baru nie było nikogo, w przyległej części, tak zwanym salonie, coś się niewątpliwie działo. Słyszałem ciężki oddech. Korek z głośnym hukem wyskoczył z butelki. Pauza. Potem jakiś głos powiedział:

— Gin, do ciężkiej cholery! Precz z ginem!

Rozległ się ogłuszający brzęk, a potem śmiech człowieka dobrze już wstawionego.

— Lustro! Po diabła komu lustro?

Nowy strzał korka.

— Znów ten przeklęty gin — stwierdził głos, bardzo zawiedziony. - Precz z ginem!

Tym razem butelka uderzyła o coś miękkiego, spadła na podłogę i zatrzymała się, wylewając z bulgotem zawartość.

— Hej! — zawołałem. — Chciałbym się czego napić.

Zapadła cisza.

— Kim pan jest? — po chwili zapytał nieufnie głos.

— Jestem ze szpitala — powiedziałem. — Chcę wypić kielicha.

— Nie pamiętam pańskiego głosu. Pan widzi?

— Tak.

— To na miłość boską, doktorku, przeskocz przez ladę i znajdź mi butelkę whisky.

— W tej sprawie, owszem, mogę być doktorem — oświadczyłem. Wdrapałem się przez ladę i spojrzałem w bok. Stał tam mężczyzna z wielkim brzuchem, czerwoną twarzą i siwiejącymi wąsikami, ubrany tylko w spodnie i koszulę bez kołnierzyka. Był już mocno wstawiony. Najwidoczniej nie mógł się zdecydować, czy otworzyć butelkę, którą trzymał w ręce, czy użyć jej w charakterze broni.

— Jeśli pan nie jest doktorem, to kim pan jest? — spytał podejrzliwie.

— Byłem pacjentem, ale potrzeba mi kielicha jak najlepszemu doktorowi — odparłem. — To, co pan trzyma, to znowu gin — dodałem.

— Ach, tak! Pieprzony gin — powiedział i cisnął go precz. Butelka z trzaskiem i brzękiem wyleciała przez szybę.

— Niech mi pan lepiej odda ten korkociąg — powiedziałem.

Zdjąłem z półki butelkę whisky, otworzyłem ją i podałem mu wraz ze szklaneczką. Dla siebie wziąłem mocny koniak, po czym, nalałem sobie zaraz drugą porcję. Po chwili ręce przestały mi tak gwałtownie drżeć.

Spojrzałem na swego towarzysza. Pił whisky wprost z butelki.

— Zaleje się pan — powiedziałem. Przerwał picie i odwrócił ku mnie głowę. Przysiągłbym, że mnie widzi.

— Zaleję się! Tam do licha, już jestem zalany — powiedział z pogardą.

Miał tak absolutną słusność, że nic więcej nie dodałem. Rozmyślał chwilę ponuro, po czym oznajmił:

— Muszę się upić. Muszę być dużo bardziej pijany. — Nachylił się do mnie. — Wie pan co? Jestem ślepy. Żeby pan wiedział: ślepy jak kret. Wszyscy są ślepi jak krety. Oprócz pana. Dlaczego pan nie jest ślepy jak kret?

— Nie wiem — odparłem.

— To ta przeklęta kometa, niech ją zaraza! Ona wszystkiemu winna. Zielone gwiazdy spadające — a teraz wszyscy są ślepi jak krety. Pan widział zielone spadające gwiazdy?

— Nie — wyznałem.

— Otóż to. Najlepszy dowód. Pan ich nie widział: nie jest pan ślepy. Wszyscy inni widzieli — zatoczył łuk ramieniem — wszyscy są ślepi jak krety. Ścierwo nie kometa, powiadam.

Nalałem sobie trzeci kieliszek koniaku, zastanawiając się, czy on nie ma racji.

— Wszyscy są ślepi? — powtórzyłem.

— Właśnie. Wszyscy. Pewnie wszyscy na świecie. Oprócz pana — dodał jakby po namyśle.

— Skąd pan wie? — spytałem.

— Nic prostszego. Słuchaj pan! — powiedział.

Staliśmy obok siebie opierając się o szynkwas i nasłuchiwalismy. Nic nie było słychać, nic prócz szelestu gazety, którą wiatr pędził pustą ulicą. W tej okolicy z pewnością nie znano takiej ciszy od tysiąca lat.

— Rozumie pan, co mam na myśli? Jasna sprawa — powiedział mężczyzna.

— Tak — odrzekłem wolno. — Tak... rozumiem, co pan ma na myśli.

Doszedłem do wniosku, że muszę iść dalej. Nie wiedziałem dokąd. Czułem tylko, że muszę dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co się dzieje.

— Pan jest właścicielem baru? — zapytałem.

— A jeśli nawet, to co? — odparł znów nieufnie.

— Tylko tyle, że muszę komuś zapłacić za trzy podwójne koniaki.

— Daj pan spokój.

— Ależ niech pan posłucha...

— Daj pan spokój, powiadam. Wie pan dlaczego? Bo po co nieboszczykowi pieniądze? A ja jestem nieboszczyk... tak jakbym już był. Jeszcze tylko parę łyków.

Wyglądał bardzo krzepko na swój wiek i powiedziałem mu to.

— Po co żyć, jak człowiek jest ślepy? — zapytał gniewnie. — Tak powiedziała moja żona. I miała rację, tylko że ona ma więcej odwagi. Kiedy się przekonała, że dzieciaki też są ślepe, co zrobiła? Zabrała je do naszego łóżka i odkręciła gaz. Tak zrobiła. A mnie zabrakło odwagi, żeby przy nich zostać. Moja żona to dzielna kobieta, dzielniejszą ode mnie. Ale ja się też zbiorę na odwagę. Wrócę tam do nich niedługo, kiedy już będę dość pijany.

Co tu było mówić? Słowa były bezcelowe, drażniły go tylko. W końcu znalazł po omacku schody i z butelką w ręce poszedł na górę. Nie próbowałem go zatrzymać ani iść za nim, odprowadziłem tylko spojrzeniem. Potem dopiłem resztkę koniaku i wyszedłem na cichą ulicę.